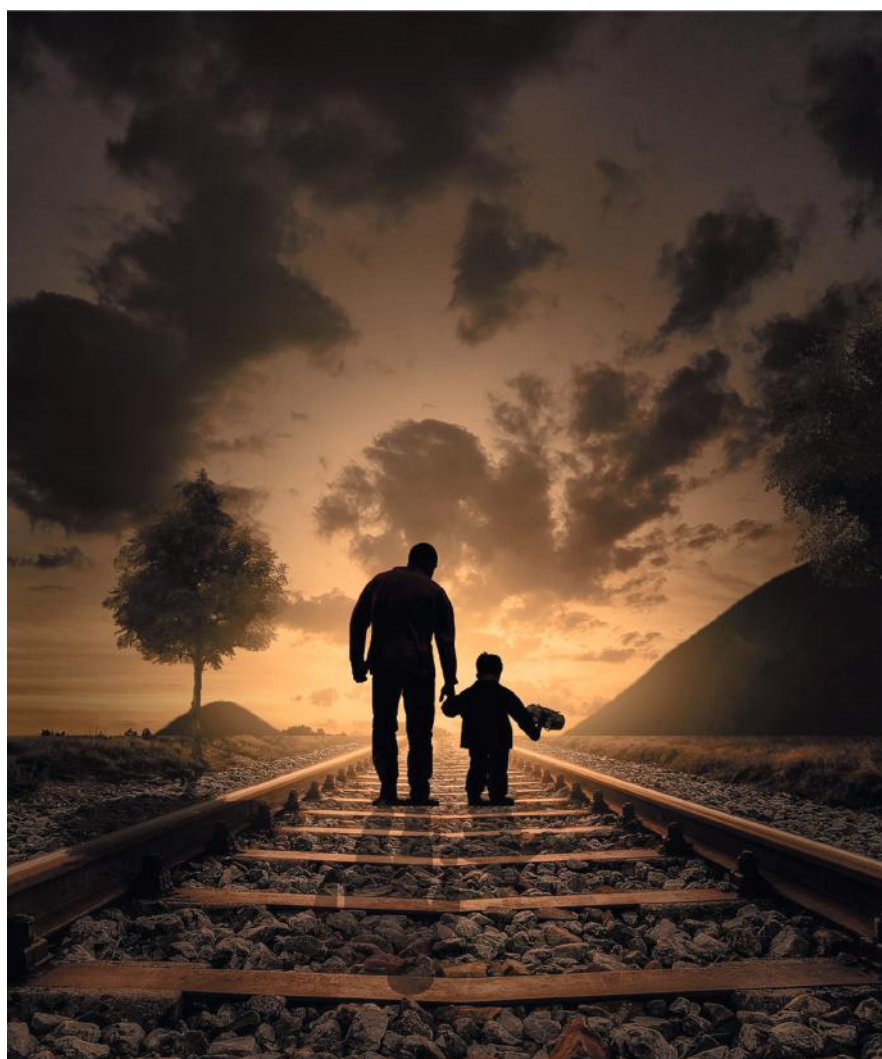


IGNIS

Czasopismo Duszpasterstwa Akademickiego św. Anny w Krakowie



MIŁOŚĆ

Przemieniająca
moc miłości
s. 4-5

Mizerna głośna
s. 11

Życie i twórczość Michaiła
Afanasijewicza Bułhakowa
s. 14-17

Od redakcji



Drodzy Czytelnicy!

Oddajemy w Wasze ręce e-wydanie styczniowego numeru Ignisa, którego tematem jest ostatnia z cnót teologicznych – miłość. Po naszej śmierci nie mówimy o wierze i nadziei, ponieważ poznajemy już Boga i nasze miejsce w wieczności, a miłość pozostaje niezmienna. Na Ziemi wszystkie trzy cnoty utwierdzają naszą wolę do czynienia dobrego a unikania złego. Nad tajemnicą jej przemieniającej mocy pochylił się w swoim tekście nasz duszpasterz. W numerze dowiemy się także, jak – stosując *savoir vivre* – można okazać miłość do drugiego człowieka, poruszona została też tematyka wzoru cnót, czyli świętych i związanych z nimi kanonizacji.

W tym miesiącu będzie okazja dowiedzieć się więcej o polskiej aktorce oraz rosyjskim pisarzu. Poznacie także kolejne wspomnienia absolwentów, a w dziale sportowym spróbujemy odpowiedzieć na pytanie o kondycję dyscyplin zimowych.

Życzymy owocnej lektury!

W szczególnym dla duszpasterstwa akademickiego okresie sesji wszystkim Czytelnikom życzymy Bożego Błogosławieństwa, stabilnego łącza oraz chłodnej głowy w trakcie nadchodzących wyzwań!

Redaktor naczelny:

Zuzanna Ruszar

Redaktorzy:

Zuzanna Ruszar

Bartosz Księżyc

Okładka:

Zuzanna Ruszar

Zdjęcie na okładce –

pixabay.com

Korekta:

Rafał Biel

Daniel Klimowski

Anna Kaźarnowicz

Maria Świerczyńska

Olga Zatońska

Skład:

Bernard Paweł Chrunik

Ewa Socha

Spis treści

Od redakcji	3
Z ROZWAŻAŃ DUSZPASTERZA	
Przemieniająca moc miłości	4
Pismo Święte	6
BYŁO, (NIE) MINĘŁO...	
Wsoomnienie	7
BYŁO, (NIE) MINĘŁO...	
Gotowość	7
MRÓWCZYM TROPEM	
Mechanizm kanonizacji	8
SAVOIR VIVRE	
Skromność, serdeczność i nie tylko	10
FELIETON	
Mizerna głośna	11
KULTURA	
Jak wiele Loda Halama zawdzięcza swoim nogom?	12
SPORT	
Zimowe komplikacje	13
Z NOTATEK HISTORYKA	
Życie i twórczość Michaiła Aфанasjewicza Bułhakowa	14
FROM THE UPPER ROOM	
The Virtue od Love	18
ENTERTAINMENT	
Crossword puzzle	20

Przemieniająca moc miłości



ks. Krzysztof
Porosło

Każdy człowiek, który choć raz doświadczył miłości, czy to ze strony rodziców, czy od tej jednej jedynej miłości swego życia, wie, jak miłość potrafi „dodawać skrzydeł”, jak przemienia człowieka, jak wydobywa zeń możliwości, o których nawet mu się nie śniło. Miłość ma moc, w oparciu o którą to, co niemożliwe, staje się możliwe.

Wybitny szwajcarski teolog Hans Urs von Balthasar w I tomie swojej *Teologii* zajął się tym problemem, umieszczając go w rozdziale *Wolność podmiotu*¹. Jest to o tyle ważne, że zobaczymy, iż miłość przemieniająca człowieka nie narusza jego wolności, lecz jest z nią w pełni zgodna i jej poddana.

Kiedy zakochani godzinami wpatrują się w swoje twarze, nieustannie obdarzając się pieszczotliwymi określeniami i fantazyjnymi komplementami, wszyscy wokoło traktują tę sytuację z lekkim przymrużeniem oka, kwitując: „cóż, są zakochani”. Wszakże w tym właśnie wyraża się odwieczne pragnienie zakochanych: oglądanie twarzy i słuchanie głosu umiłowanej osoby – „Gołąbko ma, [...] ukaż mi swą twarz, daj mi usłyszeć swój głos! Bo słodki jest głos twój i twarz pełna wdzięku»” (Pnp 2, 14). Nigdy tego dość w miłości. Mówi się, że zakochani widzą rzeczywistość, a przede wszystkim osobę kochaną, w różowych barwach, idealizują ją. Owszem, jest w tym stwierdzeniu wiele prawdy. Czymś zupełnie naturalnym w miłości są komplementy typu: „jesteś najpiękniejsza na całym świecie” albo „nikt nie jest tak dobry, jak ty”. Oczywiście jest, że często mają się one nijak do obiektywnej rzeczywistości. Są również zupełnie nieweryfikowalne. Jednakże dla osoby kochającej tak właśnie jest: osoba kochana jest najwspanialsza i nie sposób tego przekonania u niej zmienić. Widzimy zatem, że w tym spojrzeniu miłości na ukochaną osobę zawierają się dwie jednoczesne wypowiedzi, z których jedna nie może wyprzedzić drugiej – powie Balthasar.

To spojrzenie jest równocześnie spojrzeniem obiektywnym, jak i idealizującym, gdzie przez *idealny* nie tyle rozumiemy „doskonały”, co „odpowiadający idei kochającego”. Kochający zatem dostrzega wady i słabości osoby kochanej, akceptuje je pomimo wszystko i w ten sposób wyraża swoją miłość, jednakże przestrzega osobę kochaną zupełnie inaczej niż wszyscy inni ludzie zewnątrzni wobec ich aktu miłości.

Każda osoba przeczuwa, że tkwią w niej wielkie możliwości, których nie może sama wydobyć i urzeczywistnić. Potrzebuje do tego drugiej osoby, a przede wszystkim jej wiary, że to jest możliwe. Balthasar pisze:

Aby je wszakże rozwinąć [ukryte możliwości – przyp. KP], potrzebuje kogoś, kto w nie wierzy – a raczej: kto je widzi, istniejące już w ukryciu, obiektywne, choć widoczne tylko dla tego, kto ich urzeczywistnienie uważa za możliwe, a więc dla tego, kto wierzy i kto kocha. Niejeden czeka tylko na kogoś kochającego, aby stać się tym, kim od dawna mógłby być².

Może się zdarzyć, że osoba kochana nie ma świadomości swoich ukrytych możliwości i w ogóle nie bierze pod uwagę, że jest w stanie coś takiego urzeczywistnić w sobie. Dopiero osoba kochająca uświadamia jej to, odkrywa przed nią tajemnicę jej własnego bytu, a może nawet tajemnicę swojego bytu urzeczywistnia w niej – wszak miłość łączy ludzi nierozzerwalnie: „Dlatego opuści człowiek ojca i matkę i złączy się ze swoją żoną, i będą oboje jednym ciałem. A tak już nie są dwoje, lecz jedno ciało” (Mt 19, 5–6).

Ta prawda miłości będąca równocześnie prawdą wolności jest – jak wyżej powiedzieliśmy – równocześnie obiektywna i subiektywna. Subiektywna nie dlatego, że jest nieprawdziwa, ale dlatego, że potrzebna jest inna osoba, dzięki której prawda

¹ Hans Urs von Balthasar, *Teologia*, t. 1, tłum. J. Zychowicz, Kraków 2005, s. 101–113.

² Tamże, s. 107.

subiektywna urzeczywistni się, stając się obiektywną.

Balthasar tak o tym pisze:

Bez wskazania ideału przez podmiot poznający istota poznawana nigdy nie wpadłaby na myśl, by do niego dążyć, albo też zaniechałaby takiej próby, uznawszy ją za zbyt fantastyczną. [...] Na rozkaz miłości odważa się on być tym, czym mógłby być, ale czym sam z siebie nigdy by się być nie ośmielił¹.

I dalej:

Niemniej idea ta została dostrzeżona i twórczo wyrażona przez podmiot kochający; to jego ideał został realnie odcisnięty w istocie kochanej tak bardzo, że odtąd to, czym ona jest, zawdzięcza podmiotowi kochającemu, który jej podarował prawdziwy obraz jej samej².

Czy trzeba szukać na to jakichś specjalnych dowodów? One same się znajdują. Cudownie o tym pisał Edward Stachura w króciutkim odpowiadaniu *Pokocham ją siłą woli*. Dziewczyna mówi do przyśluchojącego i wpatrującego się w nią chłopaka:

...i temu jednemu mężczyźnie byłabym oczywiście absolutnie wierna. W ten sposób, w ten chyba jedyny sposób byłabym też sobie wierna. Byłabym taka, jaka chcę być i jaka naprawdę jestem. Ja to wiem. Ja to czuję. Ten mężczyzna by mi pomógł w tym, by mi pomógł taką a nie inną być, a ja bym się starała tak samo we wszystkim mu pomóc. Bo, myślę, że na pewno bym mu w niczym nie przeszkadzała³.

Podobnych przykładów zaczerpniętych z literatury można by mnożyć bez końca. Jednakże trafniejsze są chyba własne odczucia i doświadczenia, których zdaje się nikomu nie brakuje. Ileż to osób zmieniło swoje postępowanie, a nawet nawróciło się pod wpływem poznania osoby, która ich pokochała. Odrobina miłości wywróciła ich świat do góry nogami i uczyniła z nich ludzi dobrych. Ileż osób zobaczyło Boga w swoim życiu, nie dzięki tysiącom wysłuchanych kazań, przeczytanych książek, a tylko przez bliskość osoby kochającej, a równocześnie głęboko wierzącej. Czyż to nie miłość wychowuje dzieci, które stają się takie, a nie inne, przede wszystkim przez miłość rodziców urzeczywistniającą ich ukryte jeszcze możliwości? Ale nie trzeba sięgać po tak radykalne przykłady. Przychodzi trudna sesja na studiach, której osoba kochana bardzo się boi, lęk ją paraliżuje, odbiera chęci do nauki i nadzieję na powodzenie. A osoba kochająca wtedy mówi: będzie dobrze, jestem tego pewny. Tak myślisz? – pada pytanie. Nie myślę, ja to wiem!

Kiedy czegoś się boimy, kiedy coś jest dla nas bardzo trudne, idziemy tam z ukochaną osobą, która swoją miłością wydobędzie z nas pokłady mocy, zdolności i możliwości, w posiadanie których zupełnie nie wierzyliśmy. W miłości nie ma rzeczy niemożliwych czy zbyt trudnych. W miłości nigdy nie brakuje człowiekowi czasu, wszak dla kochanej osoby w natłoku codziennych obowiązków i spraw zawsze „na wczoraj” odnajdę choć chwilę, aby spotkać się z nią i utulić ją w swoich objęciach. W miłości nigdy nie jest za daleko,

bo nawet kiedy dzielą nas tysiące kilometrów znajdę sposób, aby się z kochaną osobą porozumieć, nawet jeśli to ma być tylko pocałunek złożony na własnej dłoni i dmuchnięciem posłany do serca ukochanego. Ten, kto choć raz doświadczył w swoim życiu prawdziwej miłości, już nigdy nie będzie tą samą osobą. Może lepiej byłoby powiedzieć: wtedy właśnie będzie sobą. Miłość wydobędzie z niego wcześniej nieznane, nieuświadomione, czy tylko nieurzeczywistnione możliwości. Może w ogóle były one nieznane, może brakowało sił, aby je wcielić w życie, może brakowało chęci i motywu. Kiedy jednak pojawia się ta jedna, jedyna osoba, umiłowana mego serca, wtedy to, co wcześniej było ukryte, staje się całkowicie realne, staje się moim własnym życiem. Wtedy nasze życie zaczyna charakteryzować „bycie dla”. W miłości czasami chodzi tylko o „bycie dla”, o posiedzenie obok, innym razem o potrzymanie kogoś za rękę, czasami ciepłe słowo, uśmiech, o wysłuchanie, o znalezienie czasu dla innego, o zauważenie jego potrzeb, tęsknot, marzeń, pragnienia szczęścia. Czasami naprawdę potrzeba tak niewiele. Tym właśnie jest miłość. Ona nie dokonuje się w niezwykłych wydarzeniach, ale w zwykłym, codziennym „byciu dla”. I właśnie ona z owej zwykłej codzienności, czyni ją zupełnie niezwykłą. W pięknym filmie *Tylko mnie kochaj* z 2006 roku w reżyserii Ryszarda Zatorskiego pod sam jego koniec odbywa się dialog między małą dziewczynką, Michaliną, a jej ojcem, który niedawno dowiedział się o jej istnieniu:

Ojciec: Zawsze będziesz moją córką. I zrobię dla ciebie wszystko.

Michalina: Nie trzeba wszystko...

Ojciec: Tylko co?

Michalina: Tylko mnie kochaj!

Wystarczy kochać, nie potrzeba nic więcej, bo w miłości jest owo „wszystko”, które przemienia człowieka.

Wspomniano wcześniej, że owa przemieniająca moc miłości nie narusza wolności człowieka, a wręcz przeciwnie, jest z nią w pełni zintegrowana. Kiedy osoba kochająca wydobywa z osoby kochanej jej ukryte możliwości, widzi ją w tym wymiarze idealnym, to nie staje się on obiektywnym sam z siebie.

Dla osiągnięcia stanu idealnego, który jest traktowany jako realny, nie potrzebuje ona [osoba kochana – przyp. KP] czynić nic innego jak tylko postępować tak, jak gdyby był to już stan realny⁴.

Osoba kochana musi w sobie urzeczywistnić ów idealny obraz, będący wynikiem poznania osoby kochającej. Potrzeba do tego wolnej akceptacji tego obrazu i przyjęcia go. Osoba kochana musi wiedzieć, że kochający zna daleką od doskonałości rzeczywistość, ale traktuje ją jako realną, jako obiektywną. Musi wiedzieć, że kochający zna sytuację realną, ale porzuca ją, odwraca się do niej plecami – jak powie Balthasar – po to, aby wydobyć na powierzchnię obraz idealny, który staje się w jego oczach obrazem realnym i aktualnym kochanej osoby. Osoba kochana powinna wiedzieć: „dla niego, poznającego w duchu miłości, jestem odtąd kimś innym. Mocą takiej postawy istota kochana znajdzie siłę, by również ze swej strony dokonać tego przejścia”⁵ – konkluduje Balthasar. ■

1 Tamże, s. 108.

2 Tamże, s. 109.

3 E. Stachura, *Pokocham ją siłą woli, w: tegoż, Się, Zakrzewo 2010, s. 183.*

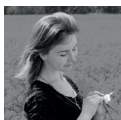
4 Hans Urs von Balthasar, *Teologia, dz. cyt., s. 110.*

5 Tamże.

Pismo Święte

Taka jest nowina, którą usłyszeliście od początku, że mamy się wzajemnie miłować. Nie dziwcie się, bracia, jeśli świat was nienawidzi. My wiemy, że przeszliśmy ze śmierci do życia, bo miłujemy braci, kto zaś nie miłuje, trwa w śmierci. Każdy, kto nienawidzi swego brata, jest zabójcą, a wiecie, że żaden zabójca nie nosi w sobie życia wiecznego. Dzieci, nie miłujmy słowem i językiem, ale czynem i prawdą. Po tym poznamy, że jesteśmy z prawdy, i uspokojmy przed Nim nasze serca.

1 J 3, 11, 13–15, 18–19



Agnieszka
Szczurek

Jest w nas pokusa, by to, co już wielokrotnie słyszeliśmy, po prostu pomijać. Mimo tego warto czytać dane nam Słowo tak, jakbyśmy widzieli je po raz pierwszy. Tak, jakby było osobą, która może i mówi to samo, ale w inny sposób. Dziś jesteśmy inni, niż wtedy, gdy słyszeliśmy te słowa ostatnim razem. Przeczytajmy więc powyższy fragment jakby po raz pierwszy: „Miłujmy się wzajemnie”... „Każdy, kto nienawidzi swego brata jest zabójcą”... Jesteśmy już tak przyzwyczajeni do podobnych frazesów, że nie widzimy w nich nic skandalicznego, ani nawet dziwnego. Ale spróbujmy wyjść na ulicę i powiedzieć takie zdanie przypadkowej osobie. Myślę, że spotkamy się z różnymi reakcjami, choć najczęstszą pewnie będzie pukanie się w czoło. Co jest takiego dziwnego w tym, że mamy kochać drugiego człowieka? Cóż, może to, że nie każdy człowiek wzbudza naturalną sympatię. Są ludzie irytujący, złośliwi, szorstcy albo po prostu odstrasający swoim wyglądem i zapachem. Skąd czerpać miłość do takich osób? Albo do kogoś, kto jest nam zwyczajnie obojętny? Jak łatwo się domyślić, z jedyne go źródła miłości: z Boga.

C.S. Lewis w swojej książce pt. *Chrześcijaństwo po prostu* pisze: „Nie trać czasu na namysły, czy kochasz bliźniego – zachowuj się tak, jakbyś go kochał. Wnet odkrywamy wówczas pewną wielką tajemnicę. Kiedy zachowujesz się tak, jakbyś kogoś kochał, zaraz zaczyna rosnąć w tobie miłość do niego. Jeśli zranisz kogoś, kogo nie lubisz, stwierdzisz, że twoja niechęć do niego urosła. Jeśli wyświadczysz mu przysługę, stwierdzisz, że niechęć zmalęła”.

Dalej Lewis pisze, że jednak od tej „reguły” istnieje jeden wyjątek: jeśli czynisz dobro, to musi ono być podyktowane szczerą troską o szczęście danej osoby. Osoby, która jest stworzona przez Boga i na Jego podobieństwo. Jeśli natomiast chcesz uczynić kogoś swoim dłużnikiem, a potem usiąść i czekać na jego wdzięczność, to nie licz na jakies efekty. Ludzie nie są głupi, wyczują protekcyjność lub popisywanie się ;).

Ktoś mógłby sobie pomyśleć: „»Bóg źródłem miłości«... Jezu, kolejny frazes, którego nie umiem”. Może w lepszym zrozumieniu tego zdania pomogą słowa Josepha Ratzingera z encykliki *Deus caritas*

est. Emerytowany papież uczy tam, że nasza miłość do człowieka czerpie życie z miłości pochodzącej od Boga, który pierwszy nas umiłował. Pisze, że „nie chodzi tu już o »przykazanie« z zewnątrz, które narzuca nam coś niemożliwego, lecz o doświadczenie miłości darowanej z wewnątrz, i tą miłością, zgodnie ze swoją naturą, należy się dzielić z innymi”. Jeśli autentycznie doświadczysz miłości Boga, jeśli dostrzeżesz jak objawiała się w różnych momentach twojego życia i uzmysłowisz sobie, jak niepojęta i bezwarunkowa

»KIEDY ZACHOWUJESZ SIĘ TAK, JAKBYŚ KOGOŚ KOCHAŁ, ZARAZ ZACZYNA ROSNĄĆ W TOBIE MIŁOŚĆ DO NIEGO. JEŚLI ZRANISZ KOGOŚ, KOGO NIE LUBISZ, STWIERDZISZ, ŻE TWOJA NIECHĘĆ DO NIEGO UROŚLA. JEŚLI WYŚWIADCYZS MU PRZYSŁUGĘ, STWIERDZISZ, ŻE NIECHĘĆ ZMALAŁA».

jest (to ostatnie jest szczególnie widoczne, gdy wrócisz pamięcią do swoich spowiedzi), to miłość do drugiego człowieka będzie ci się wydawała z każdym kolejnym dobrym gestem, coraz naturalniejsza i prostsza. Bo „miłość wzrasta poprzez miłość”, jak dalej pisze Ratzinger. Nie zastanawiajmy się za dużo i po prostu czynmy dobro wszystkim ludziom. A jeśli już mamy rozmyślać, to tylko o tym, jak ogromnie kocha nas Bóg. ■

Wspomnienie namiotowe



**Ania
Dajek**

Leżę na trawiastej plaży i patrzę na jezioro. Jest jakaś połowa lipca, strasznie gorąco, nie ma ani cienia, ani wiatru na żeglowanie. Mój telefon zaczyna wibrować.

– Ania, idziemy na pielgrzymkę namiotową ze św. Anną? No zgódź się, zgódź! – wysoki głos Soni*, mojej przyjaciółki, rozlega się w słuchawce. Namiot? Pielgrzymka? Czy połączenie tych dwóch rzeczy jest w moim przypadku w ogóle możliwe? Pewnie, że idę!

Tylko z kim i jak?

– Ty zadzwoń do księdza i spytaj, czy to jest w ogóle realne, a ja załatwię resztę.

O dziwo, ksiądz nie mówi, że jest za krzywo albo za płasko, tylko pyta:

– A ty wiesz, że to trzeba opiekuna znaleźć?

Sonia wieza więc ogłoszenie w gablocie duszpasterskiej. Średnio wierzę w powodzenie tej akcji – moja koleżanka szukała tak towarzysza na stopa. Nie znalazła. Jedyna moja nadzieja w tym, że autostop z wózkowiczem jest jednak bardziej szalony niż pielgrzymka z wózkowiczem...

Tydzień później dzwoni Sonia.

– Udało się! Trzy dziewczyny się odezwały!

Wracam do Krakowa, a Agnieszka, Kinga, Magda i oczywiście Sonia przychodzą do mnie poćwiczyć rozkładanie naszego „hangaru” – jedynego namiotu, do którego mój wózek mieści się w całości. Herbatka, gadanie i jeszcze więcej śmiechu.

6 sierpnia 2014 roku zjawiamy się na Wawelu i od tego momentu zaczyna się moja przygoda z Duszpa...

Na początku czułam się tu trochę egzotycznie – bo co dziewczyna „wychowana” przez dominikanów robi w miejscu, w którym jest zupełnie inna duchowość? Ale ludzie dość szybko pomogli mi zapomnieć o tej różnicy, dawali mi tyle radości i miłości, że głowa mała. Nawet mój wózek stał się atutem. Jako że byłam chyba pierwszym wózkowiczem w historii Duszpa, wszyscy się o mnie niesamowicie troszczyli i chwilami czułam się jak królowa... A moja korektorska przygoda z „Ignisem” i bycie w komórce św. Pawła (pozdrawiam wszystkich byłych i obecnych pawłowiczów) sprawiała, że czułam się tu naprawdę potrzebna.

Dobrze, że poszłam na pielgrzymkę... :)

P.S. Dziękuję dziewczynom, że odważyły się odpowiedzieć na ogłoszenie, całej komórce św. Pawła, że dali mi tyle radości i zawsze chcieli mnie słuchać, i tym wszystkim z Duszpa, którzy dalej przy mnie są. Dobrze, że jesteście! :)

*Imiona osób pojawiających się w artykule zostały zmienione. ■

Gotowość

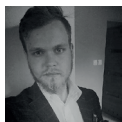


**Sylwia
Gołąb**

Kiedy tylko otrzymałam zaproszenie do podzielenia się jakimś wspomnieniem z DA, zaczęłam zastanawiać się nad wyborem konkretnego wydarzenia, ale bogactwo przeżyć związanych z tą Wspólnotą jest ogromne. Gdybym chciała zebrać je w jedną myśl, tytuł tej refleksji brzmiałby GOTOWOŚĆ. Najczęściej przywołuję w pamięci wydarzenia, które wiązały się z różnymi sprawami wymagającymi właśnie gotowości. Przyłączyłam się do Duszpasterstwa

w 2013 roku i przez pięć lat dość aktywnie spędzałam w nim czas. Moją grupą był ARCM. Zaczynałam wtedy studia w Ignatianum (teraz jestem pedagogiem i pracuję w żłobku). Zawsze powtarzałam sobie, że nie będę dobrą wychowawcą, jeśli najpierw sama nie będę wychowanką – stąd chęć kształtowania swojego charakteru poprzez formację w Kościele, w której nauczycielem jest Chrystus. Ze względu na moje zamiłowanie do prac manualnych i wykonywania dekoracji zostałam „kanową”, a potem opiekowałam się gablotkami i zazwyczaj robiłam dekoracje związane z wydarzeniami w DA. Wiele z moich wspomnień dotyczy właśnie tego, ponieważ często zdarzało się, że coś trzeba było przygotować „na już”, a najlepiej „na wczoraj”, jak to się mówi. Przykładem było pewne czuwanie przed uroczystością Zesłania Ducha Świętego, rozpoczynające się Eucharystią o 19.30. Jako jedna z osób, które miały publicznie modlić się o dary Ducha Świętego, brałam udział w próbie jakąś godzinę wcześniej, żeby ustalić kwestie techniczne, takie jak to kto komu podaje mikrofon, kto gdzie kłęczy i w którym momencie podchodzi i przekazuje diakonowi świecę, którą ten później zanoszą na ołtarz. Cały problem z tymi świecami... Ksiądz, tłumacząc kolejność wykonywanych czynności, powiedział: „Po krótkiej ciszy osoba modląca się o dany dar podchodzi do diakona i podaje mu świecę”. Pomyślałam sobie: „Hmm, jaką świecę?” – o to też zapytałam i usłyszałam odpowiedź: „No taką czerwoną, dużą, żeby była widoczna z daleka na ołtarzu”. „My nie mamy takich świec...” – stwierdziłam wbrew ogólnemu przekonaniu, że w Kanie jest wszystko. „Trzeba by takie kupić dopiero” – dodałam. Widząc wymowne spojrzenie księdza, domyśliłam się, że właśnie otrzymałam zadanie specjalne. Po przeszukaniu kilku sklepów niemal ze stoperem w ręce akcja zakończyła się sukcesem. O chwilach gotowości do podjęcia się jakiegoś wyzwania mogłabym napisać wiele, są dla mnie niesamowitym wspomnieniem kreatywności w szukaniu rozwiązań sytuacji, czasem zdawałoby się, beznadziejnych. ■

Mechanizm kanonizacji



Bartosz
Mrówczyński

Na wstępie informuję, że artykuł ten jest zainspirowany tekstem blogera Gabriela Maciejewskiego z portalu co-ryllus.pl z 23 listopada 2020 r. pt. *Kościół – neopoganstwo – dialog o bezużyteczności świętych*, do którego przeczytania serdecznie zachęcam.

W wyniku ostatnich wydarzeń na naszego umiłowanego Ojca Świętego Jana Pawła II spadła cała lawina oszczerstw i kalumnii, zażarcie wspierana przez niektóre środowiska ideowe oraz medialne. Nie mnie oceniać ich zamiary czy cele, ale z punktu widzenia naszego środowiska duszpasterskiego istotne jest to, że do tego chóru dołączyła się część duchowieństwa katolickiego, zatem uważam, że należy sprawę nieco rozwinąć. Ale ja, Drogi Czytelniku, nie mam zamiaru teraz przystępować do dyskusji, która aktualnie ma miejsce. Spróbujmy wejść w ten temat głębiej, z poziomu kałuży do poziomu sadzawki.

Dyskusja bowiem o osobie i działalności św. Wojtyły, podobnie jak dyskusja o aborcji, zasadza się zazwyczaj na jednym pytaniu, będącym pytaniem kluczowym, ustawiającym cały dalszy tok myślenia. W przypadku aborcji jest to pytanie: „Kiedy zaczyna się życie?”. Ku przerażeniu znaczącej większości ludzi poparta aktualną wiedzą medyczną odpowiedź brzmi: „Od poczęcia”. Podobnie w naszym przykładzie należy się zastanowić i postawić pytanie: „Po co są święci?”.

A to nie lada pytanie, ponieważ, jak prześledzimy sobie pobieżnie dzieje Kościoła, nagle okaże się, że owi święci stanowili jakiś niezrozumiały kamień niezgody między chrześcijanami. Że katolicy (i nasi bracia prawosławni) oddają cześć posągom, że malują ludzi po kościołach, że modlą się do świętych, a nie do Boga, a wreszcie, że w sumie przeszłość tych ludzi świętych dobrze znamy i oni wcale tacy święci nie byli. I też po części sami się zastanawiamy, po co ta horda świętych, poupychana na każdy dzień tygodnia, czasami po kilku dziennie, niekiedy nawet zdublowanych. Otóż ma to głęboki sens, który niedawno sam odkryłem, i moimi przemyśleniami zamierzam się podzielić.

Zacznijmy może od początku. Kto to jest święty? To ten, kto został już zbawiony. Brzmi banalnie, choć często o tym zapominamy. Robimy krok dalej: kto jest pierwszym świętym? Robi się ciekawie, bo to był św. Dyzma. „No dobrze, a kto to był?”, można zadać słuszne pytanie. Ano był to Dobry Łotr, który wespół z Panem umierał na górze Czaszki. A skąd my w ogóle wiemy, że jest to pierwszy święty? Z ostatnich słów, jakie Pan do niego wyrzekł, które brzmiały: „Jeszcze dziś będziesz ze mną w raju” (Łk 23,43). Czyli co nasz Pan zrobił? Otóż zrobił coś banalnie prostego. Kanonizował św. Dyzmę. No dobrze, ale w sumie za co? Przecież to był przestępca, ale nie wiemy za co został skazany na śmierć,

nie znamy ani jego przeszłości, ani sędziów – w sumie nie wiemy niczego. Ale ewangelista Łukasz podaje nam ostatni dialog między umierającymi na krzyżach mężczyznami, który odsłania istotną wskazówkę. Cała scena zaczyna się od wypowiedzi Złego Łotra, który prześmiewczo zwraca się do Pana Jezusa, aby wybawił ich od kary, skoro jest Bogiem. I tu wtrąca się św. Dyzma, który mówi trzy rzeczy. Po pierwsze upomina kolegę z krzyża, że jego drwiny są niestosowne. I teraz następują dwie rzeczy najważniejsze w całej tej historii. Wypowiada słowa (parafrazując): „Sprawiedliwą karę cierpimy, a On nic nie uczynił”. Co zrobił św. Dyzma? Uznał swój stan i wyrok śmierci za sprawiedliwe. Wykazał się cnotą sprawiedliwości w stopniu heroicznym. Uznał swoje winy i karę. W drugim zaś kroku uwierzył w Pana i poprosił o przebaczenie oraz o miejsce w raju. Aż tyle i tylko tyle wystarczyło, aby stać się zbawionym.

Widzimy zatem, że od samego początku, od samego zarania, nie tyle Kościół (czyli i sam nasz Pan) skupiał się na dyskusjach między przechwalonymi mędrkami, opatrzonymi mocami, wiedzą, charyzmatami i tytułami (w końcu nie posłał nas Pan, żeby dialogować z innymi, ale żeby nauczać inne narody), ale **przede wszystkim stawiał na świadectwo, na postawy i zachowania godne pochwały i wyniesienia, pomimo wad charakteru, a czasem również gorszych przewin**. Czyli Kościół nie idzie drogą tworzenia jakichś wytycznych, do przestrzegania których każdego wiernego zmusza, a za których niespełnienie wymierza kary. On stawia nam przed oczami człowieka, nieraz zagubionego, słabszego od nas, który mimo swoich ograniczeń dokonał aktu heroicznego i zasłużył na miejsce w poczcie wyniesionych do chwały nieba; ludzi, którzy dali radę. A skoro oni mogli, to my też możemy, ale nieco inaczej. Mamy oczywiście spisy reguł, ale umówmy się, że nie są one jakoś szczególnie uciążliwe. A nawet jeśli coś przeszkobiemy, a nawet wpadniemy w jakieś dramatyczne okoliczności bez wyjścia, to z wielkim prawdopodobieństwem na naszej prywatnej i pierwszej w historii świata kozetce psychologicznej, czyli w konfesjonale, ksiądz – a więc człowiek, taki sam grzesznik jak my, ale podrasowany sakramentem święceń prezbiteratu – udzieli nam odpuszczenia grzechów w imieniu naszego Szefa.

Zrobiło się trochę sielsko, więc podkręćmy temperaturę. W chwili, gdy piszę ten artykuł, kończę książkę prof. Grzegorza Kucharczuka pt. *Chrystofobia* i to ona jest kolejną inspiracją dla tego tekstu. Formuła tego dzieła jest taka, że autor postanowił prześledzić dzieje ostatnich pięciuset lat historii pod kątem świętych męczenników, a w tle ujawnia się nam postać św. Jana Pawła II. I jest ona kluczem do całej tej książki, ponieważ profesor jednoznacznie wykazuje, że Wojtyła spłacił chyba wszystkie długi, jakie Kościół zaciągnął u tych, którzy zginęli w jego obronie. Prześladowani za

czasów Henryka VIII i Elżbiety I angielscy katolicy na czele ze św. Tomaszem Morusem, męczennicy skandynawscy i niemieccy z początku XVI wieku, ofiary Rewolucji Francuskiej, pomordowani chrześcijanie doby wszelkich rewolucji liberalnych i komunistycznych na świecie, nazistowskiej i stalinowskiej dyktatury oraz terroryzmu islamskich fundamentalistów. Wielu katolików ginęło wtedy właśnie za wiarę, za to, że jej nie zmienili lub się jej nie wyrzekli. Tylko tyle musieli zrobić, aby aparaty terroru na przestrzeni dziejów zupełnie zaniechały rzezi. Ale oni wybrali Boga. I śmierć doczesną. Nasz Ojciec Święty starannie prześledził dzieje Kościoła i rozpoczął epokowe dzieło upamiętniania poległych za wiarę.

I tutaj dochodzimy do samego Ojca Świętego. W pierwszym artykule z tego roku akademickiego sam zwracałem uwagę, że ja tej postaci właściwie nie znałem. Stąd pierwsze, co mogę o nim powiedzieć, a co sam przepracowałem, to to, że był to człowiek, który gdzie się dało prostował zaniedbania Kościoła sprzed nawet kilku wieków, które do jego pontyfikatu nie były możliwe do skorygowania, czy to ze względu na zwykłą niedbałość, czy też polityczne blokady (a nie możemy zapominać, że rząd dusz nad prawie miliardem katolików to sprawa polityczna najwyższej próby). Kanonizacje męczenników angielskich wprawiły w złość środowiska zboru anglikańskiego, a także lokalnej monarchini, głowy tego zgromadzenia, wyniesienie ofiar Rewolucji Francuskiej spowodowało

zakłopotanie elit najbardziej laickiego kraju w Europie i można tak dalej wymieniać: ofiary Komuny Paryskiej, mordów w Portugalii i Hiszpanii, Związku Sowieckiego, hitlerowskich Niemiec... Zatem to mogą zaznaczyć *in plus* na liście „Dlaczego JPII zasługuje na świętość?”. Spłacał zaciągnięte długi w wymiarze metafizycznym.

Na zakończenie zwrócę jeszcze raz uwagę na tytułowy mechanizm kanonizacji. To jest nasza metoda, nasza wskazówka w postępowaniu na tym świecie, nasz element wzmacniający Kościół. Wstawiennictwo świętych oraz ich obcowanie z nami. Poza jawnymi przykładami dla całego Kościoła każdy z nas, tak myślę, modli się za dusze członków własnej rodziny bądź o wstawiennictwo tych, co do których mamy pewność, że zostali zbawieni. Należy także pamiętać, że nikt od nas nie wymaga, abyśmy się stali idealni, ale optymalni, trochę lepsi. Powiedzenie „jakiegoś mnie Panie Boże stworzył, takiego mnie masz” jest przykładem głupoty, ponieważ do zbawienia poza łaską jest raczej konieczna jakaś zasługa na ziemi, zaś samo to sformułowanie to kwintesencją grzechu lenistwa. Nie jest naszym zadaniem zbawić świat, naprawdę zostawmy to osobom znacznie mocniejszym od nas, ludzi. Skupmy się na dawaniu szeroko pojętego przykładu rzetelności w obowiązkach wszelkiego typu. Zresztą zbiór świętych jest obszerny, możemy czerpać pomysły na własny heroizm z nieprzebranej ilości wzorców. ■



◀ Pinturicchio, Kanonizacja Katarzyny ze Sieny przez Piusa II, fresk, ok. 1502-1508

Skromność, serdeczność i nie tylko

Savoir vivre zaleca nam różne rozwiązania, dzięki którym możemy okazać miłość do drugiego człowieka. Kochając go, chcemy jego dobra, a zatem przed konkretnym czynem winniśmy mieć przed oczyma właśnie to obiektywne dobro. Miłość wobec innych możemy okazywać poprzez naszą skromność, serdeczność i wiele, wiele innych postaw.



**Dominik
Feliks**

Dziś zachęca się nas do mówienia tego, co myślimy, i stawiania na swoim. Savoir vivre nie neguje wszystkich takich zachowań, natomiast w czasach zgiełku, zabiegania i niestabilności należy zgodnie z jego zasadami rozpoznać, czy to wszystko, co pragniemy dać od siebie, nie przytłoczy napotkanej przez nas osoby. Nasza skromność może sprzyjać odsłonięciu przestrzeni trosk rozmówcy, którego problemy raczej też nie omijają. *Nota bene* gadatliwość bywa kontrskuteczna, czego przykładem jest postawa Peryklesa ze starożytnych Aten, który w przeciwieństwie do niektórych mu ówczesnych zyskiwał posłuch, unikając nieraz zabierania głosu w eklezji.

Czy da się kogoś naprawdę miłować, nie mając dla niego czasu? To wysoce wątpliwe. Można przedialogować z kimś nawet dwie godziny, nie narzucając swojej agendy, i nic na tym nie zyskać materialnie. Nasza bezinteresowność może się niektórym wydawać całkowicie bezużyteczna. Jednak właśnie oddanie czasu na rozmowę z kimś, pomoc przy pracach domowych czy zwykłe zrobienie zakupów – tak właśnie można przyczynić się dla dobra bliźniego. Czy zajmując przedsięwzięcie do wykonania tych czynności dla potrzebującego, mamy pewność, że nasi zleceniobiorcy włożą w to tyle miłości, ile my możemy? W żadnym razie – najszlachetniej będzie pomóc osobiście.

Zdaje się, że w trakcie jednego spotkania z cyklu Dialogów w Kolegiacie arcybiskup Marek Jędraszewski zachęcał do zaangażowania się w spotkanie twarzą w twarz. Proponował, by spotkając się z żebrakiem, o co przecież nietrudno na krakowskich Plantach, popatrzeć mu przez chwilę prosto w oczy. Robienie takich rzeczy z serdecznością, uprzejme witanie się z napotkanymi osobami, proste gesty – wszyscy tego przecież potrzebujemy. Czasem jedynie serdeczny uśmiech wystarczy, by „wybić” kogoś z przygnębiających myśli.

W czasach protestów w sprawie orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego czy zdarzającej się pogardy do rodziców ze względu na to, że pobierają tzw. 500 plus, warto pochylić się nad kwestią młodych rodzin. Nawet gdy nam się nie udaje wejść w związek, dobrze jest nakierować swoje działania na wspieranie relacji kobiety i mężczyzny. Z każdym rokiem większa liczba naszych znajomych będzie nosić się z zamiarem założenia rodziny. Dostrzegając, że taka miłość to nie bzdura lub luksus, o czym poucza Dietrich von Hildebrand, możemy okazać się naprawdę pomocni, realnie wspierając młodą parę. Idąc dalej, młoda rodzina poszerzająca się za sprawą dzieci bierze na siebie wielką odpowiedzialność. Tego zaangażowania w wychowanie nie da się wykalkulować na etapie podejmowania decyzji o rodzicielstwie. Dostrzeżenie tego otwarcia się z miłością na dzieci nie tylko może nas zbudować, lecz także zreflektować, by zacząć pomagać rodzinom. Jednak jak temu podołać? Najlepiej brać przykład z Najwyższego. Wszakże pouczył nas papież Benedykt XVI w swej encyklice, iż *Deus caritas est*. ■

Mizerna głośna

W dzisiejszym poświęceniowym felietonie proponuję, byśmy – w myśl kolędy – poszli wszyscy do stajenki. Do tej watykańskiej, którą w przeddzień Świąt odsłonił papież Franciszek. Dawno już nie było tak głośno wokół tak mało istotnego wydarzenia. Wielu wiernych na całym świecie zdaje się być oburzonych tym, że Jezus, Paniątka i reszta tradycyjnych figurek jest zrobiona w innym stylu niż zwykle, w duchu sztuki współczesnej.



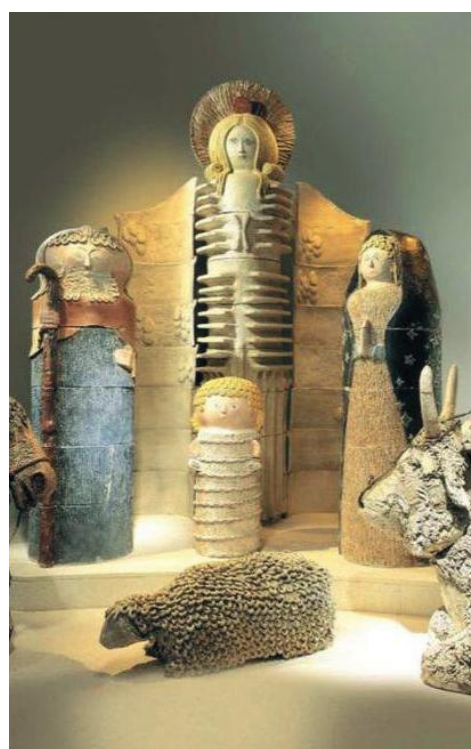
**Anna Rita
Rucińska**

Zacznę od tego, że i mnie tegoroczna watykańska szopka się nie podoba. Nie podobają mi się jednak również modernistyczne witraże Chagalla w katedrze w Reims, którymi pół świata (z katolikami włącznie) się zachwyca. Chcę przez to powiedzieć, że jakakolwiek sztuka sakralna nie ma obowiązku podobać się wszystkim tylko ze względu na to, że jest sakralna. Mamy w końcu różne gusta. Nie należy jednak stawiać znaku równości między tym, że coś się „nie podoba”, a rzekomą obrazoburczością najnowszej szopki. Przeglądałam się jej zdjęciom dokładnie i nigdzie nie zauważyłam ani dwuznacznych symboli wplecionych niepostrzeżenie w treść dzieła, ani żadnej obsceniczności w ukazaniu którejkolwiek postaci.

Cały spór dotyczy właściwie nietradycyjnej stylistyki: wielkich, cylindrycznych figur z ceramiki, porostawianych trochę jak pionki na planszy.

Mam nieprzyjemne wrażenie, że część krzyczących o skandalu „przeciwników” watykańskiej szopki niestety nie odróżnia tradycyjnych form artystycznych od obecnego nierzadko w naszych kościołach kiczu. Plastikowa lalka na sianie w roli Jezusa, pokraczne aniołki kiwające główką po wrzuceniu monety, szpetna podobizna aktualnego papieża bądź lokalnego biskupa dostawiona do pozostałych figur przedstawiających Boże Narodzenie – ktoś z nas tego nie widział? Czy to czasem nie urąga Boskiej czci bardziej niż zaprezentowana na placu św. Piotra sztuka nowoczesna?

Poniżej zdjęcia prezentujące źródło sporu. Proponuję, by każdy według własnych estetycznych wrażeń ocenił, czy owa szopka jest tak mizerna, jak o niej mówią. ■



Jak wiele Loda Halama zawdzięcza swoim nogom?

Pomimo wielu przeciwności Loda Halama była w stanie zachować pogodę ducha i z przekonaniem powtarzała: „Niczego nie żałuję! Wiem, że życia nie przegrałam, nie przeszłam obok niego, tylko je przeżyłam w pełni!”. Historię swojego życia opowiada w bardzo bezpośredni sposób w autobiografii zatytułowanej *Moje nogi i ja*. Co zawdzięczała swoim nogom? Dlaczego miały dla niej tak ogromne znaczenie?



Kinga
Pregler



Loda Halama otrzymała od swoich rodziców, mamy Marty – utalentowanej tancerki i ojca Stanisława – muzyka, niezwykły talent artystyczny. Rodzice nadali swojej córeczce rzadkie imię Leokadia. Już od urodzenia otoczona była sztuką, gdyż urodziła się w trakcie tournée rodziców, którzy bardzo wiele podróżowali po świecie, wspólnie koncertując. Pierwsze lata życia spędziła z dala od ojczyzny i powróciła do niej dopiero w wieku dziesięciu lat, gdy Polska odzyskała niepodległość.

Leokadia rozpoczęła swoją przygodę z tańcem w rodzinnym zespole pod nazwą Halamki, w którym występowała wraz z siostrami. Już od dzieciństwa wykazywała zdolności taneczne, a jej styl był bardzo dobrze rozpoznawalny. Sama tancerka przyznała, że zawdzięcza sukces matce: „My, tak zwane Halamki, miałyśmy geny taneczne od mamy”. Siostry rozwijały umiejętności i zdobywały doświadczenie pod okiem słynnych rosyjskich tancerek. Urozmaicały swoje występy pięknym śpiewem, dzięki czemu szybko zdobyły oddanych wielbicieli. Zespół Halamki można było podziwiać głównie w warszawskich teatrach rewiowych takich jak „Morskie Oko” czy „Perskie Oko”.

Kariera Lody Halamy nabrała tempa, gdy została primabaleriną Teatru Wielkiego w Warszawie. Nadanie jej tego zaszczytnego tytułu było ogromnym zaskoczeniem dla konserwatywnego środowiska baletowego. Początkowo współpracownicy oraz wymagająca publiczność podchodzili z niechęcią do jej występów, które kojarzyli głównie z przedstawień rewiowych. Łodzie jednak szybko udało się zyskać ich uznanie. Z czasem tancerka postanowiła spróbować też swoich sił na srebrnym ekranie. Swoją przygodę z filmem rozpoczęła wcielając się w rolę Czarnego Łabędzia w *Ziemi obiecanej*. Dzięki swoim zdolnościom tanecznym, również w filmach, najczęściej otrzymywała rolę tancerek, w których to partiach czuła się jak ryba w wodzie. Swoją charyzmatyczną osobowością podbiła serca nie tylko koneserów baletu, ale również publiczności kinowej. Aktorka występowała u boku największych gwiazd polskiego filmu takich jak słynny Eugeniusz

Bodo i Maria Żabczyńska. Międzynarodową karierę rozpoczęła dzięki pomocy Ignacego Paderewskiego, który umożliwił jej debiut w Paryżu. Paryski popis taneczny zaowocował zaproszeniami tancerki do współpracy z artystami całego świata. Loda zyskała wiernych fanów na innych kontynentach, dzięki czemu miała możliwość wyjazdu do Japonii. Występowała również w Stanach Zjednoczonych, które stały się jej drugą ojczyzną.

Pomimo ogromnych sukcesów zawodowych życie osobiste aktorki było naznaczone nieszczęściem i cierpieniem. Jej drugi mąż – George Golembowski, który był jej wielką miłością – został śmiertelnie postrzelony podczas napadu rabunkowego na warszawską firmę, której był właścicielem. Śmierć męża była ogromnym ciosem dla aktorki. Kolejne dwa małżeństwa zostały zawarte nie z miłości, lecz w celu uzyskania dokumentów uprawniających do stałego pobytu w Wielkiej Brytanii, a następnie w USA. Loda już nigdy nie była w stanie pokochać innego mężczyzny, z wyjątkiem swojego synka.

Dzięki swoim niezwykłym zdolnościom i ciężkiej pracy Loda Halama zapisała się na kartach historii jako słynna tancerka, primabalerina Teatru Wielkiego i gwiazda polskiego kina międzywojennego. Pomimo wielu trudności i życiowych zawirowań zachowała pogodę ducha. Przyjaciele wspominali ją jako osobę bardzo religijną – **trzymała się Pana Boga, który prostuje ludzkie ścieżki** – co niewątpliwie pozwoliło jej z nadzieją patrzeć w przyszłość. ■

Bibliografia:

Anna Lisiecka, *Loda Halama. Pierwsze nogi Rzeczypospolitej - burzliwe losy legendarnej gwiazdy*, Zona Zero Sp. z o.o., Warszawa 2017.

<https://pl.aletia.org/2020/10/13/loda-halama-przedwojenna-primabalerina-wiem-ze-zycia-nie-przegralam/>

<https://www.rp.pl/Rzecz-o-historii/190619757-Loda-Halama-Demon-tanca.html>

Zimowe komplikacje

Kalendarzowa zima trwa już od kilku tygodni, ale nie wszystkie dyscypliny na lodzie i śniegu nabrały rozpędu. Są nawet takie, w których zawodnicy są niemal pewni, że w tym roku nie zbiorą punktów do światowego rankingu i muszą przygotowywać się do przyszłorocznych Zimowych Igrzysk Olimpijskich 2022 na własną rękę. Oto jak wygląda sytuacja.



**Bartosz
Księżyc**

Najbardziej popularny sport związany z nartami – skoki narciarskie – poradził sobie w nowych warunkach całkiem nieźle. Co prawda zawody Letniego Grand Prix 2020 odbyły się tylko w Wiśle (22 i 23 sierpnia), ale w zimowej części sezonu konkursy odwołano jedynie w Azji – japońskim Sapporo i chińskim Zhangjiakou. Polski Związek Narciarski dobrze wywiązał się z organizacji inaugurujących kolejną edycję Pucharu Świata zawodów w Wiśle, wykazał także gotowość przejścia zawodów w zwolnionym przez Chiny terminie. W połowie grudnia udało się przeprowadzić mistrzostwa świata w lotach narciarskich w słoweńskiej Planicy, natomiast na przełomie lutego i marca poznamy mistrzów świata na skoczni normalnej i dużej w niemieckim Oberstdorfie.

Biegacze i biegaczki inaugurowali sezon w fińskiej Ruce; w tym sezonie Pucharu Świata zaplanowano łącznie 22 zawody – o osiem mniej niż w zeszłym. W kombinacji norweskiej, stanowiącej połączenie skoków i biegów narciarskich, wydarzeniem zimy był na pewno pierwszy w historii Pucharu Świata konkurs indywidualny kobiet, który odbył się w austriackim Ramsau, a którego zwyciężczynią okazała się Amerykanka Tara Geraghty-Moats. Z uwagi na skomplikowane czasy nie wiadomo, czy odbędzie się w tym sezonie jakikolwiek inny konkurs pań, panowie natomiast planowo pojawiają się na skoczni i torze 17 razy, tyle samo, ile w zeszłym sezonie. Wyjątkowo sytuacja przedstawia się w widowiskowym narciarstwie alpejskim – jeżeli wszystkie zaplanowane zawody dojdą do skutku, powinno odbyć się ich więcej niż rok temu. W przypadku dotychczas odwołanych konkursów powodem było nie zagrożenie epidemiczne, lecz brak śniegu.

Z organizacji zawodów biathlonowych w trwającym sezonie wycofały się Szwecja, Francja i Chiny, co poskutkowało tym, że w fińskim Kontiolahti, austriackim Hochfilzen i czeskim Novym Meście zawody będą odbywały się (albo już się odbyły) przez dwa weekendy pod rząd. Sumarycznie wygląda na to, że liczba wyścigów będzie zbliżona do zeszłorocznej, a coroczne lutowe święto biathlonu – mistrzostwa świata – wydają się niezagrożone.

W artykule do numeru październikowego wspominałem, że amerykańsko-kanadyjska liga hokeja na lodzie, czyli NHL, zdołała dokończyć rozgrywki sezonu 2019/2020, ale sytuacja międzynarodowa w tym sporcie nie wygląda kolorowo. Opóźniono o rok

kwalifikacje do Igrzysk Olimpijskich 2022 w Pekinie, tegoroczne mistrzostwa świata zostały odwołane we wszystkich dywizjach poza Elitą (złożoną z najlepszych 16 zespołów), a i tam nie brak problemów organizacyjnych – oprócz pandemii, Międzynarodowa Federacja Hokeja na Lodzie IIHF chce nie dopuścić do rozgrywek w Białorusi z powodów politycznych. Powstała kilka lat temu w Europie Hokejowa Liga Mistrzów najpierw zrezygnowała z fazy grupowej turnieju, a później całkowicie odwołała edycję 2020/2021. Jedyna okazja, by obejrzeć hokej na lodzie w telewizji to śledzenie rozgrywek lig krajowych, które w większości państw na szczęście działają.

Inne popularne dyscypliny związane z lodem to curling, łyżwiarstwo figurowe, łyżwiarstwo szybkie czy short track. W tym pierwszym odwołano wszystkie zawody począwszy od marca 2020 aż do połowy marca 2021 (w tym mistrzostwa świata i Europy), los kolejnych jest niepewny. Pierwsze zawody łyżwiarstwa figurowego w tym sezonie odbyły się w dniach 23–26 września w niemieckim Oberstdorfie, do końca roku zdołano szczęśliwie zorganizować 13 międzynarodowych imprez, jednakże trzeba wspomnieć, że w tym czasie miało się ich odbyć 47. Wrzesień 2020 nie był natomiast szczęśliwy dla panczenistów: już wówczas zapadła oficjalna decyzja o odwołaniu wszelkich zawodów Pucharu Świata do końca roku; podobny los spotkał imprezy w short tracku (łyżwiarstwie szybkim na torze krótkim).

Widać zaskakującą dysproporcję w tym, jak do organizacji zawodów podchodzą kraje europejskie i azjatyckie. Największe problemy są w tych dyscyplinach, gdzie tradycyjnie zawody odbywałyby się co tydzień na innym kontynencie; władze niektórych państw bardzo restrykcyjnie podchodzą do przybyszów z innych krajów, nakazując przechodzenie obowiązkowych testów lub kwwarantanny. Warto mieć na uwadze, że przy dodatkowym braku kibiców na zawodach związki narodowe i federacje muszą patrzeć także na rachunek ekonomiczny – naturalnie, im mniej popularna dyscyplina, tym trudniej temu podołać. Jednak jeśli już zawody w któreś z wyżej opisanych dyscyplin się odbywają, to z pewnością są i będą dostępne w formie transmisji telewizyjnych; prawa do transmisji m.in. skoków narciarskich i biathlonu ma więcej niż jedna platforma, także pozostający w domu fani sportu nie będą się nudzić. ■

Życie i twórczość Michaiła Afanasjewicza Bułhakowa

W mojej opinii Michaił Bułhakow był największym pisarzem rosyjskim XX wieku. Niestety w świadomości przeciętnego Polaka istnieje on jako twórca tylko jednego dzieła – *Mistrza i Małgorzaty*, z którego powszechnie cytowany jest jedynie wyrwany z kontekstu i przez to kretyński cytat o picciu spirytusu przez damy. Tymczasem Bułhakow to o wiele więcej niż wspomniana powieść. Nie sposób jednak tej twórczości zrozumieć bez znajomości meandrów życia pisarza.



Wiktor
Węglewicz

Należy zacząć od przedstawienia życiorysu. Michaił Afanasijewicz Bułhakow urodził się w 1891 r. w Kijowie. Był synem profesora Kijowskiej Akademii Duchownej Afanasija Iwanowicza Bułhakowa i Warwary Michajłowny z domu Pokrowskiej. Doczekali się oni łącznie siedmiorga dzieci, z których przyszedł pisarz był najstarszy. Dom Bułhakowów był zwyczajnym domem rosyjskiej inteligencji, jakich wiele było wówczas w Kijowie (należy pamiętać, że było to wówczas miasto z dominującym żywiołem rosyjskim!). Mieścił się w jednym z najpiękniejszych zakątków miasta – na Andriejewskim Spusku, gdzie dzisiaj znajduje się muzeum pisarza. Jego dzieciństwo i młodość były szczęśliwe,

a więzy łączące rodzeństwo były bardzo silne¹. Po zakończeniu nauki w I Gimnazjum wstąpił na Wydział Lekarski Uniwersytetu Kijowskiego; tam zastała go I wojna światowa.

¹ Uległy one osłabieniu po 1917 r. W wyniku wojny domowej, a także śmierci matki w 1922 r. gniazdo rodzinne uległo rozpadowi. Młodszy brat Nikołaj, walcząc w szeregach Armii Ochotniczej ewakuował się z Krymu i wyjechał do Jugosławii, a potem do Francji, gdzie został profesorem biologii. Z zagranicy pisywał listy do matki i brata. Trzecia siostra, Warwara (uwieczniona jako Jelena w „Białej Gwardii”) obraziła się na pisarza za przedstawienie w wymienionej powieści jej męża Leonida Karuma (jako Talberga) w bardzo negatywnym świetle i od 1925 r. ich kontakty praktycznie uległy zerwaniu. W latach 20. i 30. M.A. kontaktował się głównie z najstarszą siostrą, Nadieżdą, żyjącą w Moskwie.

Studia ukończył w 1916 r., po czym został zmobilizowany do armii i skierowany na front rumuński. Następnie sprawował funkcję lekarza w wiosce na Smoleńszczyźnie. Biografowie sądzą, że właśnie tam uzależnił się od morfiny, najmocniejszego wówczas środka przeciwbólowego, a jednocześnie uzależniającego narkotyku. W październiku 1917 r. wybuchła rewolucja październikowa, a kilka miesięcy później na obszarze rozpadającego się Imperium Rosyjskiego rozpętała się wojna domowa. Bułhakow wrócił do Kijowa, w którym zmieniła się już władza na ukraińską – najpierw była tam Ukraińska Republika Ludowa, a następnie zależny od Niemców byt polityczny (Państwo Ukraińskie). W listopadzie 1918 r. wybuchło powstanie kierowane przez Symona Petlurę, którego celem było restytuowanie Ukraińskiej Republiki Ludowej. Kijowa bronili wtedy Rosjanie – ochotnicy – i w tych walkach wziął udział także Michaił oraz jego brat Nikołaj. W II połowie 1919 r. będąc zmobilizowanym jako lekarz, brał udział w walkach po stronie „białogwardzistów” (czyli sił antybolszewickich) na Kaukazie Północnym. W końcu 1919 r. zachorował na tyfus plamisty i z tego powodu tam pozostał. Ten obszar zajęli w początkach 1920 r. bolszewicy. Później wypominał swojej ówczesnej żonie, Tatianie, że nie wywozła go razem z wycofującymi się „białymi”. W 1920 r. Bułhakow przez pewien czas przebywał we Władykaukazie, gdzie zatrudnił się w sowieckich urzędach zajmujących się literaturą i teatrem, a następnie w gruzińskim Batumi, skąd bez skutku próbował odплыnąć do Francji. Z Gruzji wyjechał do Moskwy w grudniu 1921 r., by osiąść w niej na stałe. Zmarł w 1940 r. W stolicy Związku Sowieckiego pracował w wielu miejscach, z których ważniejsze to: redakcja gazety „Gudok”, Moskiewski Teatr Artystyczny oraz Teatr Wielki (*Bolszoj*).

Do zrozumienia twórczości Bułhakowa bardzo istotne jest zaznaczenie, że kobiety zajmowały bardzo ważne miejsce w życiu Michaiła Afanasijewicza, jednak stosunki między nim a płcią przeciwną do normalnych nie należały. W czasie swojego niedługiego życia miał trzy żony (sam uważał, że do osiągnięcia szczęścia potrzebuje ożenić się właśnie tyle razy)¹. Pierwszą była Tatiana Nikołajewna Łappa, piękna zielonooka gimnazjalistka, z którą Bułhakow poznał się i ożenił w 1908 r. Była ona jego wierną towarzyszką przez następne kilkanaście lat, i zawdzięczał jej bardzo wiele – towarzyszyła mu w najcięższych momentach życia i dwukrotnie mu je ratowała (od narkotyków na Smoleńszczyźnie i od tyfusu na Kaukazie). Tym bardziej uderza jego rażąca niewdzięczność – dwukrotnie zaszła z nim w ciążę i tyleż razy poddała się aborcji, przy czym w drugim przypadku wykonawcą był sam Michaił (sic!). Do tego nie był jej zbyt wierny², a także starał się wyrzucić ją ze swojej biografii³. Rozstali się w 1924 r., gdy pisarz romansował z Lubow' Jewgieniewną Biełozierską, która w 1925 r. została jego drugą żoną. Była ona osobą bardzo energiczną, miała własne zainteresowania, krąg przyjaciół, w którym była bardzo

lubiana. Twórczość jej męża nie była w centrum jej zainteresowań, przez co ognisko domowe powoli się psuło. Bułhakow w 1929 r. wdał się w romans z Jeleną Siergiejewną Szyłowską, którą nota bene odbił mężowi⁴. Ta stała się ostatnią – największą – jego miłością i posłużyła jako prototyp Małgorzaty dla ostatniej jego powieści. Do tego obrazu trzeba dodać, iż Bułhakow miał wiele przelotnych romansów z wieloma kobietami, a także nie doczekał się dzieci – nie chciał ich.

Twórczość Bułhakowa rozwinęła się po jego przybyciu do stolicy Związku Sowieckiego, chociaż pisać zaczął już w Kijowie (utwory nie zachowały się, pisarz kazał je zniszczyć swoim siostronom jako nieudane). Debiutem był niewielki artykuł *Perspektywy na przyszłość*, opublikowany w gazecie „Grozny” z 26 listopada 1919 r. Wczesny, kaukaski etap jego twórczego życia charakteryzował się felietonami, publikowanymi jeszcze za władzy „białych” w miejscowych gazetach, a następnie – również w felietonach i komentarzach o kulturze w miejscowych gazetach „czerwonych”.

Bułhakow przyjeżdżał do stolicy Związku Sowieckiego jako początkujący i zupełnie nieznaną twórcą, w dodatku „prowincjusz”⁵. Miał duże trudności nie tylko w przebicciu się, ale nawet zaistnieniu w moskiewskim środowisku pisarskim. Z tego okresu pochodzą jego krótkie felietony (m.in. w organie kolejarzy „Gudok”), które przedstawiają życie codzienne w ówczesnej Moskwie, a także kłopoty mieszkaniowe, będące jednym z największych zmartwień pisarza przez kilkanaście lat. Bardzo źle radził sobie pod względem finansowym (w 1924 r. nie miał nawet na czynsz!) – a Bułhakow niestety był materialistą i pieniądze miały dla niego duże znaczenie.

Rozgłos i uznanie zyskał dopiero po wydaniu powieści *Biała Gwardia* w 1925 r. Jej kanwą jest los rosyjskiej inteligencji zamieszkującej Kijów, która w okresie wojny domowej stanęła po stronie antybolszewickich i jednocześnie antyukraińskich formacji – tak zwanych „białogwardzistów”⁶. Głównymi bohaterami są: Aleksiej Turbin, oficer i lekarz-wenerolog, jego brat Nikołka, ich siostra Jelena, a także przyjaciele rodziny – Szerwiński, Myszłajewski, Karaś. Powieść rozgrywa się w ciągu kilku dni grudnia 1918 r., gdy wszyscy powyżsi brali udział jako ochotnicy w obronie Kijowa przed Ukraińcami atamana Petlury. Jest to powieść niezwykle istotna w dorobku Bułhakowa. Po pierwsze, jest autobiografią pisarza: Aleksiej – to on, Nikołka – jego młodszy brat Nikołaj, wymienieni oficerowie – jego kijowscy przyjaciele. Po drugie, przebija przez nią wielka miłość autora do swojego miasta rodzinnego (nazywanego w niej „Miastem”)⁷, a także zdecydowana

1 Inny znakomity rosyjski pisarz, Izaak Babel, często powtarzał znaną przez siebie sekwencję w jednym z dzienników z XIX w.: „Pierwsza żona od Boga, druga – od ludzi, trzecia – od diabła”. Być może były one znane Bułhakowowi

2 Charakterystyczne w ich wzajemnych stosunkach są słowa Tatiany Nikołajewny, gdy na sylwestrze 1922 r. była podrywana przez obecnych tam mężczyzn i Bułhakow ostro zreprimendował ją za to: „Tylko on mógł się zachowywać tak, jak chciał, ja natomiast miałam siedzieć cicho”.

3 Powodem tego była wiedza o bardzo niechlubnych faktach z przeszłości pisarza. Dlatego w swojej twórczości nie poświęcił jej wiele miejsca, a gdy się rozstali, prosił, by nie rozpowiadała tego, co wie o nim.

4 Lubow' Jewgieniewna nie miała problemów z romansem męża, a zawarcie małżeństwa Bułhakowa z Jeleną potraktowała wyrozumiale. Zajęta była zresztą własnym romansem, a z Jeleną Siergiejewną się przyjaźniła.

5 Z powodu swojego pochodzenia Bułhakow odczuwał zazdrość i kompleks niższości wobec starej, a zarazem snobistycznej inteligencji moskiewskiej, w domach której bywał. W dodatku nie umiał się zachowywać w towarzystwie.

6 W odniesieniu do rosyjskiej wojny domowej panował podział na „czerwonych” (czyli komunistów) i „białych”, czyli siły antybolszewickie. Bułhakow walczył w szeregach jednej z armii antybolszewickich – Armii Ochotniczej gen. Antona Denikina.

7 Świadczy o tym cytat z opowiadania „Zabilem”: „Ach, jakie gwiazdy są na Ukrainie! Mieszkam w Moskwie od siedmiu prawie lat, a jednak ciągnie mnie w rodzinne strony. Czasem czuję taki ucisk w sercu, że mam ochotę wsiąść do pociągu... i pojechać tam. Znowu zobaczyć pokryte śniegiem urwiska, Dniepr... Nie ma na całym świecie piękniejszego miasta, niż Kijów.” (M. Bułhakow, „Zabilem”, [w:] tegoż, „Utwory wybrane”, t. 2, Warszawa 2018, s. 607).

antyukraińskość – Bułhakow bowiem, jak i jemu współcześni, uważali naród ukraiński za wymysł, zresztą ówczesny Kijów był miastem zdominowanym przez Rosjan. Jest to powieść męska, postaci kobiet jest niewiele i poza Jeleną odgrywają rolę poboczną. Na pierwszym planie pokazani są znakomicie sportretowani oficerowie, należący do klasy inteligentkiej (oprócz wspomnianych powyżej również np. pułkownik Naj-Turs). Poprzez swoich bohaterów autor chciał ukazać skomplikowane i często tragiczne losy inteligencji rosyjskiej na przełomie epok, ludzi tak naprawdę odchodzących w przeszłość (wielu spośród „białych” zginęło, zostało zamordowanych przez bolszewików, bądź uciekło na Zachód). *Biała Gwardia* została przez autora przerobiona na sztukę *Dni Turbinów*, która miała premierę 5 października 1926 r., i to na najlepszej scenie Związku Sowieckiego – w Moskiewskim Teatrze Artystycznym (MChAT) u Konstantina Stanisławskiego i Władimira Niemirowicza-Danczenki. Role odtwarzali najwybitniejsi sowieccy aktorzy, Nikołaj Chmieliow, Iwan Kudriawcew, Boris Dobronrawow czy Władimir Jersow. Sztuka w niektórych miejscach znacznie różni się od literackiego pierwowzoru. Dodać należy, iż Bułhakow miał wielkie przeszkody w jej wystawieniu, była kilka razy zdejmowana; o powrocie jej do repertuaru zdecydował osobiście Stalin. W latach 1926–1941 r. MChAT wystawił *Dni Turbinów* 987 razy.

Dla MChATu Bułhakow napisał znacznie więcej – od 1930 do 1936 r. był tam zatrudniony jako pomocnik reżysera. W l. 1926–1927 powstał *Bieg*. Sztuka składała się z 8 snów i przedstawiała wydarzenia wojny domowej i emigracji „białych” Rosjan: wydarzenia na Krymie w 1920 r., w Konstantynopolu oraz Paryżu w 1921 r. Opisywała okrucieństwa wojny (ważna postać gen. Chłudowa), a także ciężki los wyrzuconych ze swojej ojczyzny i nie mogących do niej powrócić Rosjan. *Bieg* był kilkakrotnie przygotowywany do inscenizacji, jednak z uwagi na negatywną ocenę Stalina nie doczekał się wystawienia. Premiera odbyła się dopiero w okresie „odwilży” (w Stalingradzie w 1957 r.). W latach 30. powstały dwie ważne sztuki, *Molier* i *Iwan Wasiliewicz*. Pierwsza z nich powstała na podstawie biografii francuskiego pisarza (bardzo bliskiego Bułhakowowi), która została odrzucona przez wydawnictwa. Dzięki wstawiennictwu Maksyma Gorkiego udało się doprowadzić do jej wystawienia, ale po kilkunastu przedstawieniach została zdjęta. Druga ze sztuk była komedią o carze Iwanie Groźnym, przeniesionym we współczesne autorowi czasy. Również i ona nie doczekała się premiery, zabroniona przez kierownictwo Partii po próbie generalnej.

Swoim związkom z MChATem Bułhakow poświęcił *Powieść teatralną* (autorska nazwa: *Zapiski nieboszczyka*). Pisana w l. 1936–37 i zarzucona ze względu na skupienie się autora na pracach nad *Mistrzem i Małgorzatą*, autobiograficznie opisywała perypetie Bułhakowa we wczesnych latach 20., podczas pisania i wystawiania *Białej Gwardii*. Maksudow – to Bułhakow; w powieści sportretowane zostało środowisko MChAT-u, ze wszystkimi jego wadami i przywarami. Iwan Wasiliewicz – to Stanisławski, Arystarch Płatonowicz – to Niemirowicz-Danczenko, Toropiecka – Olga Bokszańska (osobisty sekretarz Danczenki, a prywatnie siostra trzeciej żony Bułhakowa, Jeleny) i wielu innych. Krytycy uznają ją za jedną z najlepszych w całej twórczości literata. Mogę jednak zaznaczyć, iż by zrozumieć powieść zgodnie z intencją autora, należy przedtem zapoznać się z historią ZSRS lat 20., a szczególnie – z dziejami MChAT-u. Inaczej wiele niuansów będzie

niezrozumiałych. Sam bardzo żałuję, że autorowi nie udało się jej ukończyć.

Z twórczości lat 20. należy jeszcze wspomnieć nowelę fantastyczną *Fatalne jaja*, wpisującą się w modny wówczas futurizm, oraz opowiadanie *Psie serce*. Bułhakow pisał również dziennik, który został mu skonfiskowany podczas rewizji.

Bardzo ciekawe i robiące wrażenie jest opowiadanie *Morfina*, publikowane w 1927 r. na łamach „Pracownika medycyny”. Opowiada ono o młodym lekarzu, pracującym w zabitej dechami wsi na Smoleńszczyźnie, który uzależnia się od tytułowego narkotyku (zresztą, co można było robić innego w takiej wiosce?). Jest to bardzo silnie autobiograficzna powieść – przez pryzmat losów swojego bohatera Bułhakow przedstawił swoje autentyczne przeżycia, wraz z uzależnieniem od tytułowego narkotyku. Stosunek pisarza do tego magicznego leku jest nie do końca wyjaśniony; podczas gdy jedni z badaczy przyjmują, że Tatianie Łappie udało się wyleczyć męża, drudzy optują za uzależnieniem trwającym całe życie (wersję tę potwierdzają odkryte na rękopisie *Mistrza i Małgorzaty* ślady morfiny). Prawdopodobnie to jest powodem pojawienia się fantastycznych pomysłów w rodzaju wiedźm, latających wieprzów itd., które Bułhakow pisał na stronach *Mistrza i Małgorzaty*.

Od wczesnych lat 20. Bułhakow miał problemy z władzami. Był człowiekiem bardzo niezależnym, nie chciał podporządkować się panującym nurtom i napisać powieści na zamówienie. Jak podliczył, do 1930 r. ukazało się 287 negatywnych recenzji jego dzieł i tylko 3 pozytywne!¹. Dlatego też nie mógł sobie pozwolić na komfort poświęcenia się wyłącznie pracy twórczej, tylko musiał pracować zawodowo, co bardzo go irytowało i męczyło. Druga połowa lat 30. zesłała więc pisarzowi na pracy w Teatrze Wielkim (jako redaktor literacki oper). We własnej twórczości tego okresu wybija się kilka dzieł. Pierwszym z nich była wspomniana już *Powieść teatralna*. Drugim – sztuka o młodości Stalina, zatytułowana *Batum*. Bułhakow przedstawił w nim dyktatora jako bohatera romantycznego i opisał jego życie od wyrzucenia z seminarium do strajku w Batumie (współczesne Batumi w Gruzji) w 1902 r. Sztuka, na której wystawienie autor miał wielkie nadzieje, została odrzucona przez Stalina latem 1939 r. Był to cios, po którym Bułhakow już się nie podniósł i przyspieszyło to jego śmierć.

Ostatnim i zarazem największym dziełem była powieść *Mistrz i Małgorzata*. Treści opisywać nie będę, ponieważ jest powszechnie znana, warto zaś powiedzieć nieco o samym procesie twórczym. Pierwsza wersja powstała w 1928 r., ale została zniszczona przez pisarza dwa lata później. Do swojego pomysłu powrócił w 1932 r., a swój ostateczny tytuł powieść uzyskała w 1937 r. Lata 1937–38 były czasem najintensywniejszej pracy nad nią; na korzyść *Mistrza...* zawiesił prace nad *Powieścią teatralną*. Pisanie przychodziło autorowi lekko i rękopis powstawał z bardzo małą ilością skreśleń. Bułhakow zakończył prace w maju 1938 r. Wówczas też tekst przepisywała na maszynie wspomniana

1 W „*Mistrzu i Małgorzacie*” jest to opisane tak: „Dosłownie w każdym wierszu tych artykułów wyczuwałem jakiś wyjątkowy fałsz i niepewność, mimo, że ton tych tekstów był groźny i tchnął pewnością siebie. Nieustannie odnosiłem wrażenie – i nie mogłem się od tego wrażenia uwolnić – że autorzy owych artykułów piszą zupełnie coś innego, niż chcieliby napisać i że właśnie to jest powodem ich furii” (M. Bułhakow, „*Mistrz i Małgorzata*”, [w:] tegoż, „*Utwory wybrane*”, t. 4, Warszawa 2018, s. 216).

powyżej Olga Bokszańska. Nie było to tylko przepisywanie – Michaił Afanasijewicz dyktował tekst z rękopisu, jednocześnie wprowadzając mnóstwo zmian, rozszerzając wątki. *Mistrz i Małgorzata* jest jednak powieścią nieukończoną, choć może się wydawać dziełem kompletnym. Nie wiemy, co autor chciał jeszcze dodać, ale pod koniec 1939 r., mając już świadomość, że jego życie dobiega kresu, mówił, że musi ją dokończyć. Ostatnie zmiany wprowadził do niej w lutym 1940 r., na kilkanaście dni przed śmiercią. Dotyczyły one

ostatniego rozdziału w części I; część II nie została przez autora wyszlifowana.

Twórczość Michaiła Bułhakowa silnie bazowała na jego własnych przeżyciach. Można powiedzieć, że większość jego prac opierała się na wątkach autobiograficznych. Jest silnie zanurzona w rzeczywistości sowieckiej lat 20. i 30. Tym niemniej, warto sięgnąć po inne jego prace niż *Mistrz i Małgorzata* i wniknąć w świat tego niejednoznacznego człowieka, ale wielkiego pisarza. ■



The Virtue of Love



The Upper Room

What is love? The word itself is probably one of the most misused in the English language. We often hear sentences like: *I love your outfit, it's so cute!* *He loves to play video games.* *It was a great love affair.* (Come on, seriously? If it was an affair, then it definitely wasn't based on love but lust – I will elaborate further on that notion later on.) At other times people say: *I love my brother/sister/family/friend.* How on earth did we get to the point of using the same verb to express our sentiments for an object or action and, at the same time, the affection towards our close ones? Not to mention the fact that the love we feel for a friend is different than the love we feel towards a parent and yet again different towards our wife or husband.

So yes, we're in a tangled mess when it comes to expressing our likes, admiration, or feelings. Where can we find a proper definition of the word "love"? For starters, there's a beautiful and profound explanation in St. Paul's Letter to the Corinthians (1 Cor 13, 4–8):

“Love is patient, love is kind. It does not envy, it does not boast, it is not proud. It does not dishonor others, it is not self-seeking, it is not easily angered, it keeps no record of wrongs. Love does not delight in evil but rejoices with the truth. It always protects, always trusts, always hopes, always perseveres. Love never fails.”

In his book “Love and Responsibility” our beloved Pope John Paul II wrote that “Love **consists** of a commitment which limits one's freedom—it is a giving of the self, and to give oneself means just that: to limit one's freedom on behalf of another's. Limitation of one's freedom might seem to be something negative and unpleasant, but love makes it a positive, joyful and creative thing. Freedom exists for the sake of love.”

I believe many a parent can testify to this—all those sleepless night hours spent on feeding their newborn children. Sometimes the situation is reversed and it is the child taking care of his or her sick parents, despite the fact that he or she has other things to do and places to be. Another example: a volunteer helping to feed the poor or homeless. A priest spending hours in the confessional, listening to penitents, even though he is already tired or hungry or simply would prefer to do something that requires less concentration. No matter our occupation, each day every one of us has an opportunity to live out the calling to love.

While this world sometimes paints a distorted picture of love in our various human relationships, I believe nowhere is it as falsified as when it comes to the relationship between man and woman. There are many myths circling around this kind of romantic love.

First of all, the word “love” is often used to describe its opposite—lust. A man may tell a woman “I love you” (or vice-versa), but what he really means to say is a much more shallow “I am attracted to you physically”, “I enjoy the feelings I get when I'm around you” or sometimes even worse “I am lusting for your body”. This is not to say that sexual desire is a bad thing. However, lust is. So what is the difference, you may ask? Sexual desire focuses on the longing for sexual union for the good of both people—giving and receiving, whereas lust asks only the question of what pleasure is in it for me, how can I use this person for my own self-gratification, not interested in the ultimate good of the other. Yes, the line between the two may seem quite vague. But this is where the virtue of chastity comes in. The more we practice it, the better we become at identifying whether or not what we're feeling is love or lust. Chastity helps us see the other human being as a person and not as an object, it is crucial to a loving relationship between man and woman. Ultimately, it proves that love is the only thing that truly satisfies the human heart and

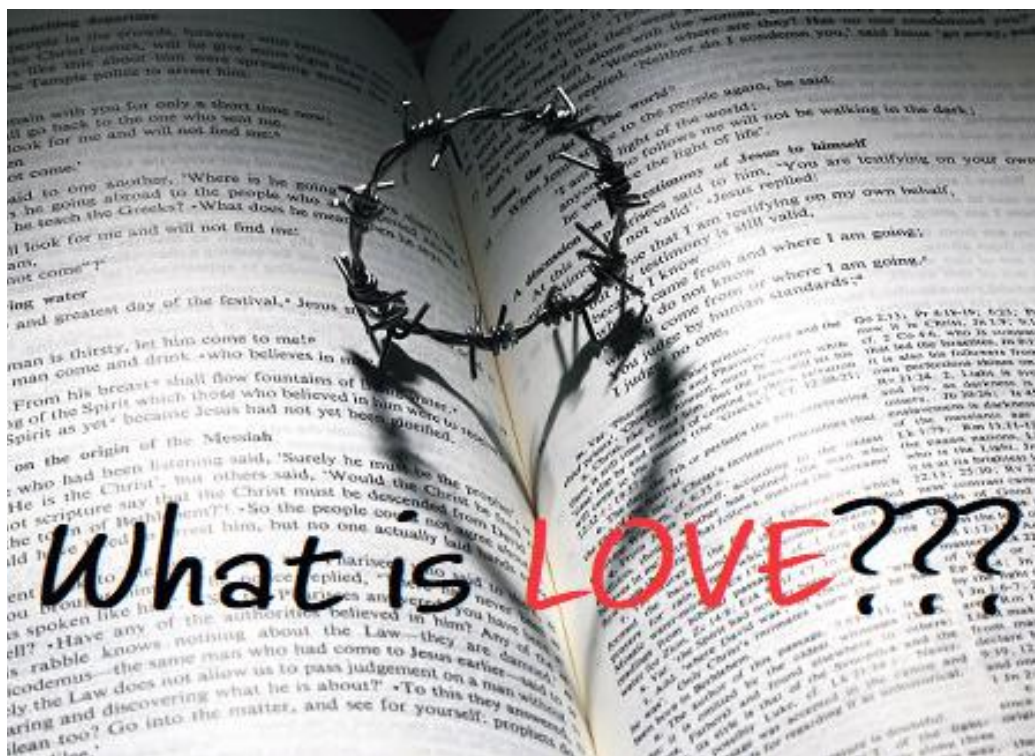
that lust, although seemingly appealing at the beginning, is actually quite boring in the long run.

Secondly, there is a common idea that love is present only as long as I am actually feeling something towards my significant other. When that feeling is gone, I no longer love him and we should therefore no longer stay together. That belief is based on the concept that love is merely a feeling. Here again we can quote John Paul II in “Love and Responsibility”, who clarifies: “Love is never something ready made, something merely ‘given’ to man and woman, it is always at the same time a ‘task’ which they are assigned. Love should be seen as something which in a sense never ‘is’ but is always only ‘becoming’, and what it becomes depends up on the contribution of both persons and the depth of their commitment.” Therefore love is not as much a passive feeling as an active approach towards working on our ourselves and the relationship in general for the mutual good of the couple involved.

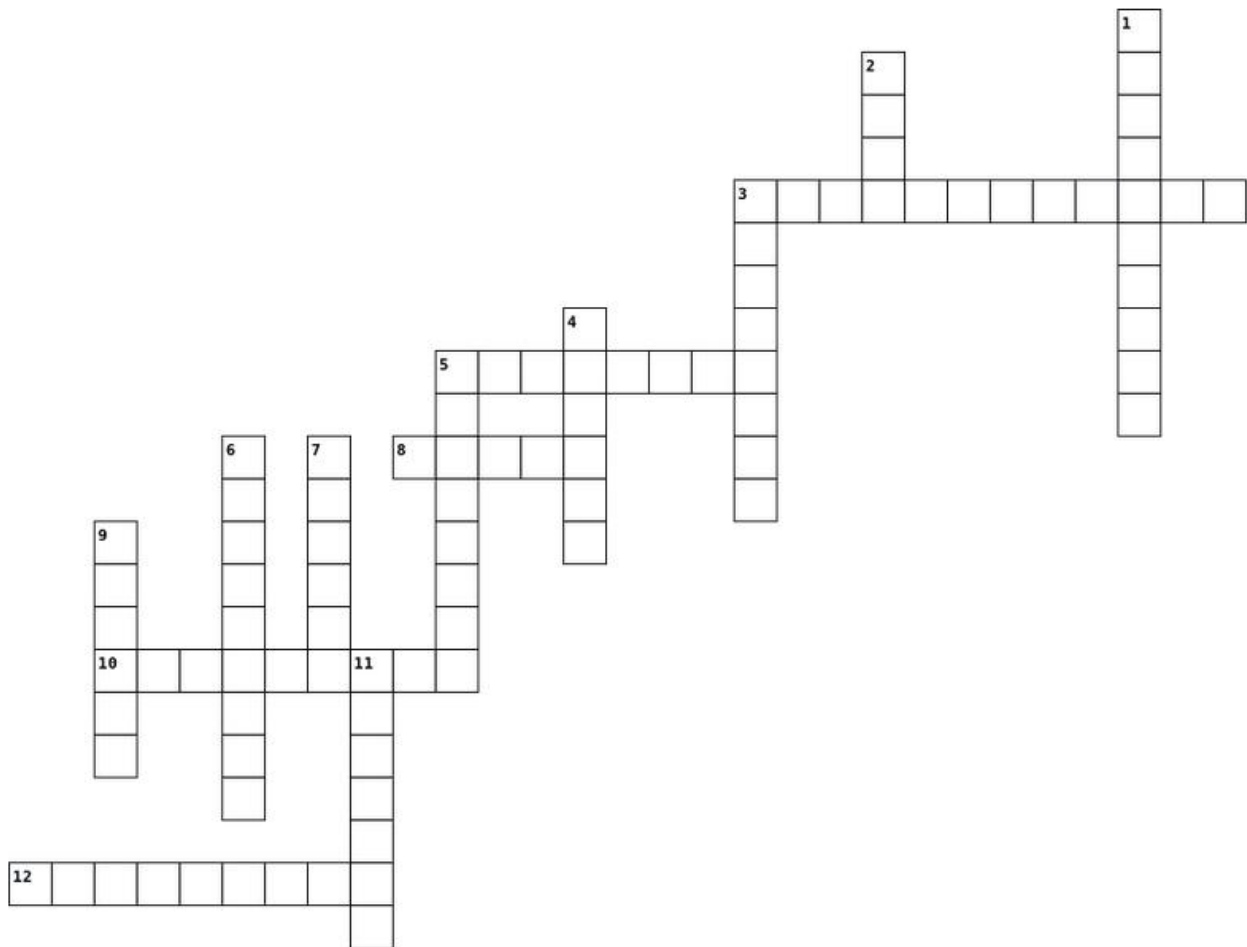
Third and last of all (of course there are many more myths about love, in fact an entire book could be written to describe them in detail), there is a significant number of people—even Christians!—who believe in having their “other half”, and that they will not reach any form of fulfillment until they have found this soulmate. This concept was actually presented for the first time by the Greek playwright Aristophanes. Supposedly, at first humans had one head but with two faces, two pairs of legs and arms. They were disobedient to the Greek gods, so Zeus decided to punish them by splitting each creature in half. Happiness could only be reached if these individuals found each other and were reunited forever. In the Bible, however, no such account can be found. In fact, if the whole idea of God creating someone just to make ME happy is not an expression of egoistic, self-centered narcissism, I don’t know what is! Moreover, how can two unhappy beings make each other happy? How can I give someone something that I do not possess? The happiest husbands and wives repeatedly report that they were already happy before they got married. That makes sense, because contrary to general belief, the goal of marriage is not to make you happy. It is to make you a better person, grow in virtue and come closer to God through your vocation. That being said, happiness should be a “side effect” of marriage. Although it is not the goal, I don’t believe God wants us to be bonded in matrimony so that we become miserable and suffer for the rest of our lives.

To conclude, I hope this text serves as an inspiration to reflect on the relationships with the people around us. I have not provided the full definition of love, if one even exists. The virtue of love is a mystery, sometimes overwhelming us with joy, at other times bringing tears to our eyes or triggering the greatest of sacrifices. One thing is for sure, love matters—without it our world would be a cold and frightening place. I hope and pray that we continue growing in love, which is the greatest of virtues. ■

—Karolina Werońska



Crossword puzzle



Down

1. the state or quality of being dedicated to a cause, activity, etc.
2. an uncontrolled or illicit sexual desire or appetite
3. sexual purity and being morally pure in thoughts, words, and actions
4. behavior showing high moral standards
5. very great or intense, deep
6. a gentle feeling of fondness or liking
7. a sexual relationship between two people, one or both of whom are married to someone else
9. joined securely to another or each other
11. to initiate or precipitate (a chain of events, scientific reaction, psychological process, etc.)

Across

3. the part played by a person or thing in bringing about a result or helping something to advance
5. a person who repents their sins and seeks forgiveness from God
8. to talk with excessive pride and self-satisfaction about one's achievements, possessions, or abilities
10. giving a misleading or false account or impression; misrepresented
12. to continue in a course of action even in the face of difficulty or with little or no indication of success

Zachęcamy do śledzenia aktualności dotyczących wydarzeń i wyjazdów naszego duszpasterstwa:
na stronie internetowej www.da-krakow.pl
oraz na fanpage'u www.facebook.com/swanna.kr

Chcesz tworzyć „Ignisa” razem z nami? Skontaktuj się z Redakcją: ignis.da@gmail.com